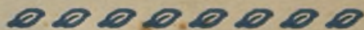


Tomiki





Misyjne.

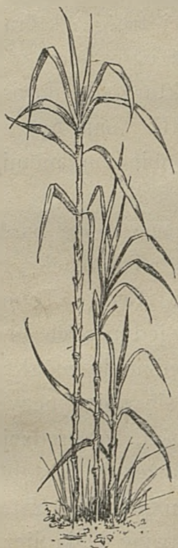


Tomik I.



Tomiki Misyjne

Artykuły, opowiadania, wiadomości treści religijnej i etnograficznej.



Tomik I.

Cena: **20** hal.; **20** fen.; **10** kop.; **5** ct. am.

Do nabycia *w Sodalicyi św. Piotra Klawera.*
Kraków, ul. św. Anny, 4.

Co to są „TOMIKI MISYJNE“.

»TOMIKI MISYJNE« stanowią zbiorek illustrowanych broszur, wydawanych przez Sodalicyę św. Piotra Klawera w łączności z czasopismem misyjnem **„Echo z Afryki“.**

Redakcya »Echa« otrzymuje często interesujące sprawozdania z poszczególnych obszarów misyjnych, opisy zwyczajów i obyczajów murzyńskich, opowiadania z misyi, anegdoty, pamiętniki podróży i t. d., które bądź dla braku miejsca, bądź dla swej treści, która się do czasopism nie nadaje, nie mogą być ogłoszone w »Echu«, ale stanowią bardzo odpowiednią lekturę dla dorosłych.

»TOMIKI MISYJNE« mają być nowym posłańcem Misyi i podsycać zainteresowanie się niemi, które rośnie z dnia na dzień.

Ponieważ zaś i scena może bardzo dobrze służyć sprawie misyjnej, więc w »Tomikach« wychodzić będą także dramaty treści misyjnej. Cena »Tomików« różna, zawisła od treści i objętości pojedynczych broszurek, jednak zawsze tak nizka, że każdy będzie je mógł nabyć z łatwością.

Czas ukazywania się pojedynczych »Tomików« zależeć będzie od ich poczytności. Im prędzej rozejdzie się pierwszy nakład, tem rychlej ukaże się następny.

Powodzenie »Tomików« jest zatem w rękach przyjaciół Misyi. Ufamy, że zamawiać będą licznie i szerzyć to nowe wydawnictwo — o co ich serdecznie prosimy.

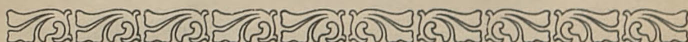
Rzym, w święto Imienia Jezus 1912.

M. T. Ledóchowska

Tomiki Misyjne

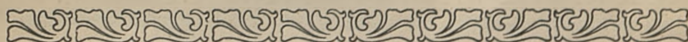
Artykuły misyjne i opowiadania z misyj afrykańskich, wiadomości treści religijnej i etnograficznej.

TOMIK PIERWSZY.



TREŚĆ PIERWSZEGO »TOMIKA«:

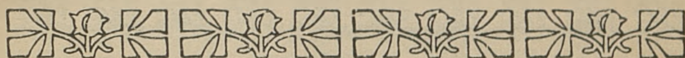
»Nie wyście mnie wybrali«, przez J. Chrz.
»Murzyni chrześcijanie«, przez O. Sinnera, S. Sp.
»Sól w Afryce podzwrotnikowej« przez O. van der Wee, M. A.
»Dwie małe bohaterki«, przez S. Hipolitę.
»Ojciec nawrócony przez córkę«, przez S. Filipinę.
»Słówko o krokodylach w Afryce«, przez O. Menyhardta, T. J.





KRAKÓW 1912.
NAKŁADEM SODALICYI ŚW. PIOTRA KLAWERA.


BIBLIOTHECA
VNIV. IAGELL.
CRACOVIENSIS

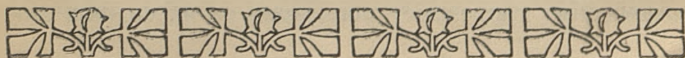


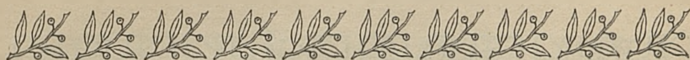


„Nie wyście mnie wybrali...“

Do wspierania misyi datkami lub jakąkolwiek pracą — zachęcić można. Do obrania tej sprawy jako celu, powołania — wezwać może tylko głos Boży. Jest to łaska i jakoby... Boże, miłosierne na duszę spojrzenie... według słów Zbawiciela: »nie wyście mnie wybrali, ale ja was«. Zapewne, że stawać na miejscu Franciszka Ksawerego, Piotra Klawera, to zadanie trudne i licząc na swoje siły tylko, ręce opuścićby przyszło, — ale zabierając się do pracy w przekonaniu, żeśmy wszyscy »sługami tylko nieużytecznymi« i narzędziem w ręku Wszechmocnego, ufać możemy, że praca daremną nie będzie.

J. Chrz.





Murzyni-chrześcijanie

przez

O. Sinnera ze Zgromadzenia Ojców od Ducha św.

(Wikaryat półn. Zanzibaru).

Europejczycy zadawali mi niejednokrotnie pytanie: czy możebnem jest uczynić z tępych, leniwych i tak nizko upadłych murzynów porządnych chrześcijan! Czy też istotnie ludzie ci pojmują doniosłość tajemnic naszej religii i w nie wierzą? Odpowiedź na te i tym podobne pytania jest prosta i łatwa, jeżeli się na te rzeczy zapatruje z punktu nadprzyrodzonego.

Murzyn kryje w swej cielesnej powłoce duszę nieśmiertelną. Prawda, że jak długo jęczy on pod jarzmem niewoli i pogaństwa, władze duszy jego są, rzec można, sparaliżowane i do rozwoju niezdolne; gdy wszakże ciężące na nim kajdany opadną, a duszę oświeci wiara i łaska Boża, zaczyna się dlań nowe życie, budzą się nowe dążności pod każdym względem. Mówiłem o tem z wielu Europejczykami rozmaitych wyznań i warstw społecznych; otóż pojąć oni nie mogą, jakim sposobem dochodzą misyonarze, w ciągu tak krótkiego czasu, do wykształcenia na dzielnych chrześcijan tak nizko upadłych murzynów. Cała tajemnica tego tkwi w Boskości naszego posłannictwa i w prawdziwości religii, jakiej nauczamy. Kto tego nie uzna, dla tego nawrócenie murzynów (i wogóle całe istnienie Kościoła katolickiego) musi pozostać nie dającą się rozwiązać zagadką. Jak według przypowieści Zbawiciela, w łonie św. Kościoła sprawiedliwi i grzesznicy pomięszani są aż do dnia żni-

wa, t. j, dnia sądu, tak i wśród naszych czarnych chrześcijan są synowie marnotrawni, którzy idąc za upodobaniem swem i namiętnością, do wiecznej dążą zguby. Dzięki Bogu takich jednak jest mało! Wogóle murzyn, jeżeli został gruntownie obeznany z prawdami religii i rzeczywiście nawrócony, dobrym jest chrześcijaninem. Jedną z głównych cech jego charakteru jest szacunek, cześć dla misyonarza, którego radom chętnie i wiernie się poddaje i u którego szuka we wszystkich sprawach ciała i duszy światła, rady, pociechy i obrony. Misyonarz wśród gminy chrześcijańskiej jest wszystkiem: kapłanem, pasterzem, doradcą, pocieszycielem, lekarzem i nauczycielem. Ma on serca wszystkich w ręku i kieruje niemi według tego, co uważa za najlepsze dla zbawienia każdego. Przywiązanie ich do misyonarza jest tak wielkie, że istnieje zwyczaj pytania go o pozwolenie przed każdą ważniejszą podróżą, przed rozpoczęciem budowy chaty w innem miejscu, lub innem ważniejszem przedsięwzięciem.

Chrześcijanie nasi są gorliwi w przystępowaniu do św. Sakramentów, stąd słuchanie spowiedzi jest jednem z najcięższych zadań naszego powołania. W wielkie święta kościelne, jak Boże Narodzenie, Wielkanoc, Zielone Świątki, Wszystkich Świętych i t. d., wszyscy chrześcijanie przystępują do Sakramentu Pokuty i Komunii św. Szczególną zaś gorliwość okazują oni przy pierwszej Komunii św. Nieraz byłem zdumiony widząc, jak wszyscy z własnego popędu cały dzień poprzedni spędzają w milczeniu, ostrym poście i niemal wyłącznie na modlitwie. Zdarza się nieraz, że przychodzą oni dwa lub trzy razy do spowiedzi, ponieważ ostatnim razem zapomnieli wyznać jakąś drobnostkę; czystość sumienia wydaje im się zawsze niedostateczną. W Mhonda musiałem raz z powodu pierwszej Komunii spowiadać wszystkich komunikujących jeszcze w samże dzień tego aktu zrana przed Sumą; inaczej — wieluby się zawahało przyjąć Komunię św. I tak, jeden nie przystąpił do Sakramentu Ołtarza, a gdy po skończonem nabożeństwie

zapytałem go o przyczynę, odpowiedział mi z całą naiwnością, iż był trochę roztargniony: szatan go skusił do liczenia świec na ołtarzu, z tego powodu doznał takiego wstydu wobec siebie samego, że postanowił za pokutę czekać następnej ogólnej Komunii św.

Uroczystości pierwszej Komunii św. należą do najpiękniejszych i najbardziej wzruszających z całego roku. Przed rozpoczęciem głównego nabożeństwa gromadzą się ci, którzy mają przystąpić do Komunii św. przed drzwiami kościoła i stają rzędami: mężczyźni z prawej strony, kobiety — z lewej. Wszyscy są w białych, a przynajmniej przyzwoitych ubraniach, ze świecą w ręku. Kiedy porządek nic już do życzenia nie zostawia, otwierają się drzwi i ukazuje się w nich kapłan, w komży i stule, w towarzystwie dwóch kleryków, którzy wprowadzają szczęśliwą gromadkę do kościoła i wiodą przed ołtarz, podczas gdy znajdująca się już tu gmina chrześcijańska śpiewa *Magnificat*, lub inną pieśń do uroczystości zastosowaną. Po pokropieniu wodą święconą, następuje wzruszająca nauka o Przenajświętszym Sakramencie, Suma i na końcu modlitwa w celu uzyskania zupełnego odpustu. Zdarzało mi się widzieć, jak nie jeden stary murzyn w czasie tych wzniosłych uroczystości łzy ocierał. Po skończeniu służby Bożej, pozostają komunikujący zwykle razem, spędzając cały dzień w misyi. Widzi się ich tam siedzących w milczeniu i od czasu do czasu powracających do kościoła. Po południu odnawiają śluby na Chrzcie św. uczynione i otrzymują poświęcone szkaplerze. Dzień pierwszej Komunii pozostaje dla nich najpiękniejszym dniem ziemskiego istnienia, i w istocie jest dla wielu początkiem pobożnego i gorliwego chrześcijańskiego życia. Ubranie nawet służące im w dzień pierwszej Komunii, zostaje zwykle schowane i wkłada się tylko wówczas, gdy komunikują.

Wśród innych dorocznych uroczystości wyróżnia się obchód Bożego Narodzenia.

Zajmującem bardzo jest zawieranie związków małżeńskich. Kiedy narzeczeni dostatecznie obeznali się z pra-

wdami wiary i przez przyjęcie Sakramentów św. przygotowali się do tego aktu, stają przed ołtarzem oboje w bieli, panna młoda okryta welonem. Otacza ich grono przyjaciół i wielu chrześcijan. Po otrzymaniu błogosławieństwa i skończonej Mszy ślubnej, młoda para zostaje jeszcze w kościele, reszta zaś obecnych wychodzi i idzie nabijać strzelby. Zaledwie nowozaślubieni próg kościoła



Stacya misyjna w Nsona Mbala.

przestąpią, porywają przyjaciółki pannę młodą, a jedna z nich unosi ją na plecach do pierwszej chaty murzyńskiej, gdzie spędza dzień cały w zamknięciu i oddaleniu od mężczyzn. Pana młodego prowadzą przyjaciele do wsi; tu oczekuje go biesiada złożona z ugali (potrawy z mąki »sorgo«), z pompe (piwo z »sorgo« lub kukurudzy) i mięsa koziego. Pannie młodej usługują przyjaciółki. Po uczcie rozpoczyna się taniec. Wieczorem przyjaciele przeprowadzają państwa młodych do ich chaty. Zwyczaj wymaga, by młoda małżonka w ciągu ośmiu

dni siedziała w domu w sukni ślubnej i niczem się nie zajmowała, przyjmując wszystkie usługi od swych przyjaciółek. Koło Watschaggi (Kilima-Ndjaro), według powszechnego zwyczaju, panna młoda ucieka od męża i przez niego samego musi być odnalezioną. Zdarza się nieraz, że biedny małżonek dobrze się napoci, biegając kilka godzin po polach pokrytych bananami, zanim znajdzie żonę swoją.

Uczyniłem powyżej wzmiankę o śpiewie kościelnym: otóż przywiązujemy doń wielką wagę i nie żałujemy w tym względzie trudu, który ten tylko ocenić potrafi, kto sam w tej sztuce próbował murzynów kształcić. Murzyn lubi śpiew i słucha go chętnie, ale najmniejszego nie ma pojęcia o tekście, wymowie, takcie i harmonii; nadto pieśni nie zostają wykonane, jak u nas, przez chóry śpiewaków, lecz przez całą gminę chrześcijańską. Oczywiście sztuka nieraz na tem cierpi, ale, czego sztuce braknie, to dobra wola zastępuje. W niedzielę i święta śpiew się rozlega w czasie kropienia wodą święconą i błogosławieństwa. Nawet w dni powszednie starają się chrześcijanie mieszkający w pobliżu misyi, zbierać się w kościele dla odmawiania tam wspólnie porannych i wieczornych modlitw, tudzież uczestniczenia w ofierze Mszy św., podczas której pieśni pobożne i różaniec kolejno po sobie następują. Często, gdy wielu chrześcijan we wsi na picie pomba się zbiera, lub wypoczywa wśród podróży, można słyszeć ich śpiewających: *Kyrie*, *Gloria*, *Credo*, *Benedictus* i *Agnus Dei*, jednem słowem całą Mszę św.

Wśród wszystkich nabożeństw, dla naszych murzynów chrześcijan szczególnie drogich, zajmuje cześć Najśw. Panny pierwsze miejsce. Można powiedzieć, że Dziewicza Matka Zbawiciela duszę ich tak napełnia, iż na inne nabożeństwa miejsca już braknie. Raz słyszałem rozmowę kilku chrześcijanek, które zadawały sobie pytanie: Czem jest królestwo niebieskie? »Samą radością, bez żadnych cierpień — odpowiada jedna — tak uczy katechizm«. »A my czarni głupi ludzie — wtrąca druga —

jak też tam będziemy wyglądali wobec tych białych, mądrych Europejczyków?« Na to, jak natchniona odzywa się inna: »Mnie się zdaje, że najlepiej nam czarnym udać się pod opiekę Matki Boskiej, która tak jest dobrą, a jeżeli Ona na naszą brzydotę patrzeć nie zechce, schowamy się pod Jej płaszcz, bo my poprzestajemy na małem!« Usłyszawszy to, wszyscy wybuchnęli śmiechem i zaczęli krzyczeć radośnie, stosownie do zwyczaju niektórych plemion, wyrażania uznania swego śmiechem, okrzykami, klaskaniem w ręce i skokami, jeżeli ktoś wypowie myśl mądrą, lub dowcipne słówko.

Razu jednego, wchodzi młody, może szesnastoletni, murzyn do mego pokoju. Zaledwie drzwi za sobą zamknął, wybucha głośnym płaczem, pada przedemną na kolana i wśród łez mówi: »Najświętsza Marya Panna wyjednała mi łaskę, ja chcę się spowiadać, ja muszę to z siebie wyrzucić, ja chcę to powiedzieć; Najświętsza Panna łaskę mi wyjednała«. Zauważyłem, że gdy na kazaniu lub nauce zacząć mówić o Matce Bożej, wszyscy jak ze snu się budzą i z natężoną uwagą zaczynają się przysłuchiwać. W chacie lubią oni mieć obraz Maryi; noszą też różaniec, lub szkaplerz zawsze przy sobie: na szyi lub u pasa. Małym dzieciom zawieszają na szyi medalik wyobrażający Matkę Boską. Niewielu wśród nich takich, którzyby codziennie różańca nie odmawiali. Pana Boga obawiają się jako Sędziego; Maryę kochają, gdyż jest samą czystością i miłością. Wezwano mię kiedyś do łoża śmiertelnego, pewnego młodzieńca, imieniem Alfreda, chorego na płuca. Gdy mu udzieliłem ostatnich Sakramentów, rzekł do mnie: »Mój Ojcze, teraz chętnie umrę, teraz już nic nie mam na sumieniu«. Potem zaczął Imię Matki Bożej powtarzać: »Maryo, Maryo, Maryo, Maryo, ratuj mię!« Wpatrzył się w punkt jeden, usiłował ręce złożyć, i dusza jego niewinna opuściła ciało.

Najmniej pociąga murzyna nabożeństwo za zmarłych. Nigdy jeszcze nie widziałem żony opłakującej męża, lub dzieci płaczących po rodzicach. Spogląda on w oblicze śmierci prawie obojętnie; przyjmuje bardzo chętnie

i z wielką pobożnością ostatnie Sakramenta św. i poddaje się potem najzupełniej woli swojego Stwórcy. Spotyka się wśród nich nadzwyczaj piękne dusze o podziwu godnej czystości sumienia, bohaterskiej cierpliwości i rezygnacyi. Nigdy mi się jeszcze nie zdarzyło przekonać się osobiście, ani też słyszeć, by murzyn chrześcijanin odmówił przyjęcia ostatnich Sakramentów św. Po pogrzebie pozostali zdają się daleko być spokojniejsi; co najwyżej można usłyszeć: Och, ten był zawsze dobrym chrześcijaninem! przyjął też pobożnie ostatnie Sakramenta św.

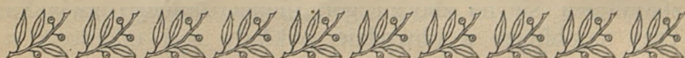
»Co za różnica — rzekł raz do mnie siwy już murzyn naczelnik — pomiędzy tem co było niegdyś, a co jest teraz! Przedtem chowaliśmy się jak zwierzęta. Przedsiębraliśmy przynajmniej raz do roku napady na sąsiednie plemiona i doświadczaliśmy napadów podobnych z ich strony. Odbieraliśmy jedni drugim kobiety, dzieci, kozy i zbiory z pola. Od czasu do czasu ukazywali się wśród nas nadbrzeżni Arabowie uzbrojeni w strzelby, łańcuchy i bicze, porywali wśród ludności naszej młodzież i pędzili jak trzodę bydła na wybrzeże, na targowisko. Wskutek wojen i handlu niewolnikami, ginęły całe pokolenia. Pod słońcem niema większych potworów jak Arabowie! My, murzyni, nie mieliśmy pojęcia o religii, postępowaliśmy według nauk od przodków otrzymanych, szliśmy za popędem natury. Ale Arabowie popełniali względem młodzieży szczególnie wszelkie możliwe występki, do których my nawet, choć poganie, wstręt mieliśmy. Kiedy Europejczycy do nas przyszli, zapanował spokój, zaczęliśmy żyć w zgodzie i możemy nawet przez wieczność całą być szczęśliwymi, jak oni«.

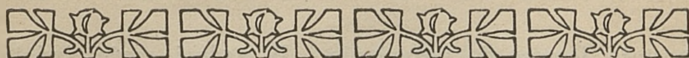
Sądzę, iż to, co powiedziałem, wystarczy jako dowód, że misyonarze nie napróżno zdrowie swe i życie Afryce niosą w ofierze i że Europa katolicka nie bezowocnie nieszczęśliwym murzynom wszelkimi sposobami przychodzi z pomocą. Wiele już dla Afryki uczyniły i osiągnęły dusze wspaniałomyślne, ale o wiele więcej

zostało jeszcze do uczynienia. W żadnej części świata rozpowszechnienie wiary chrześcijańskiej nie wymaga tak wielu ofiar, szczególnie cennych ofiar z życia ludzkiego, jak w Afryce. Ale im trudniejsze przedsięwzięcie, tem większą chwałą uwieńczone zwycięstwo tem większa nagroda, której możemy w przyszłości się spodziewać.

„Z rzeczy Boskich, najbardziej Boską jest współdziałanie dla zbawienia dusz".

Św. Dyonizy, Aeropagita.





Sól w Afryce podzwrotnikowej

przez

O. Van der Wee, z Zakonu OO. Białych.

»Czy znajduje się tam sól i jak też ją wydobywają?«

Z pytaniem tem spotyka się nieraz misyonarz, przybywający z wnętrza Afryki. Oto odpowiedź:

Myli się Europejczyk, gdy przypuszcza, że pozbawieni jesteśmy tej tak ważnej przyprawy. Zatrzymywałem się w różnych częściach Afryki środkowej i nigdzie nie brakło tego produktu, chociaż widuje się go tu rzadziej, niż w Europie i dosyć oryginalne znajduje zastosowanie. Mieszkańcy z okolicy Wielkich Jezior uważają sól jako łakocie, zastępujące nasze słodycze. Nie służy ona do zaprawiania potraw, ale jest dodatkiem i pomaga afrykańskiemu podniebieniu do przełykania delikatesów, w rodzaju pieczonych białych mrówek i szarańczy. Prawdziwy smakosz daje pierwszeństwo soli przed chlebem.

Jest więc faktem, że Afryka podzwrotnikowa sól posiada. Jedna z naszych siedzib, w której przebywałem dwa lata, znajduje się w krainie dostarczającej znacznej ilości soli. Tam to poznałem się ze sposobem jej wydobywania.

W górzystej okolicy, wzdłuż wyschłego najczęściej koryta rzeki znajdują się pokłady soli. Tylko wówczas, gdy się otwierają niebieskie upusty i potoki deszczu płyną zewsząd, toczy rzeka swoje majestatyczne nurty, nie zasila jej pozatem żadne źródło; to też między wodą a solą, znajdującą się na zboczu gór, niema żadnego związku. Trzy najobfitsze w obwodzie pokłady soli oddalone są

o godzinę drogi jeden od drugiego, ale w małych ilościach znajduje się sól wzdłuż całego biegu rzeki, szczególnie u podnóża pagórków. W suchych latach zbiór jest nieznaczny, gdy jednak dużo spada deszczu i plon wzrasta także. Pokłady te znane są krajowcom zaledwie od 30 lat.

Z ukazaniem się soli bajeczna wiąże się opowieść. Naczelnik ludu pasterskiego Matussi wcisnął się tu i osiadł. On to przyniósł i rozsypał sól krupiastą. Od dnia tego dostarcza kraj cennej przyprawy, a zapas się nie wyczerpuje. Za to wszakże musieli mieszkańcy znosić ucisk ze strony dzikich Matussi w obawie, żeby z odejściem obcego szczepu i sól nie znikła. Góry w czasach dawniejszych były jedynem miejscem pobytu naszych murzynów. Gęste zarośla i wysoka trawa pokrywały równiny i zagłębienia, stanowiące warownię, oraz miejsce ucieczki dla kobiet i dzieci podczas wojny. Dopiero gdy wszczęła się walka z Mirambo, wypędzili Matussi mieszkańców gór na płaszczyznę, gdzie ci już pozostali. Rozległe pastwiska odpowiadały potrzebom licznych trzód. Te to trzody w wędrówkach swoich napotkały prawdopodobnie sól krupiastą, rozkopały ją, jęły lizać i naprowadziły tym sposobem pasterzy na ślad cennych zapasów. Jak każda praca tak i wydobywanie soli przypada w udziale kobiecie. Mężczyznę hańbi wszelkie zajęcie. Lenistwo i dostojeństwo są dla tych panów stworzenia jednoznaczne.

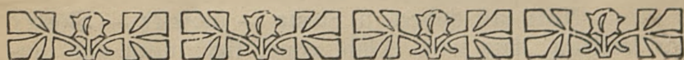
Przygotowanie soli polega na czerpaniu wody słonej, cedzeniu jej i warzeniu. Wczesny poranek jest czasem do zbioru najodpowiedniejszym. O godz. $5^1/_2$ opuszcza kobieta chatę, niosąc drewniane wiadro na głowie. Aparat do cedzenia bardzo prosty; składa się z lejka umieszczonego na podstawce i zastępuje pierwszorzędne zdobycze nowoczesnej mechaniki Wiele wszakże soli marnuje się z powodu niedokładnej manipulacyi. Biała barwa osadu nagromadzonego na przestrzeni, gdzie się cedzenie odbywa, świadczy o tem wymownie. Z chwilą, gdy sól wrzeć zaczyna, nastaje dla robotnicy czas nieledwie spoczynku. Potrzebuje ona już tylko czuwać nad pod-

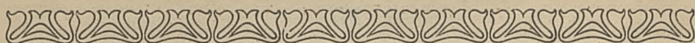
trzymaniem ognia i zapobiegać wylewaniu się wrzącej soli. Dostawy drzewa podejmują się najemnicy z innych szczepów. Otrzymują oni wynagrodzenie w postaci żywności lub soli. Za dwa miesiące otrzymuje najlepszy najemnik obok pożywienia ładunek tej przyprawy. Jeżeli kobieta chce mieć wieczorem 2 kilogramy soli, trzeba żeby robota szła bez przerwy. Jest to największa ilość. Gdy zaś krajowiec wychwala czynną swą towarzyszkę życia, znaczy to, że wydobywa ona 30 kilogramów soli 2 razy na miesiąc. Niestety, i w tym zakątku zagnieździło się fałszowanie produktów żywności. Chęć zysku skłania murzynów w latach niedostatecznych zbiorów do powiększenia zapasu soli za pomocą domieszki popiołu. Cena sprzedaży, 5 rupii, nie jest wysoka, lecz z powodu braku gotówki w obiegu, handel zamienny bierze górę. Dla większych tylko ilości, 10 i 20 klg., oznacza się przedmiot zamienny. Jeżeli niema monety, muszą ją zastąpić kolorowe tkaniny. Towaru nie ważą, lecz go mierzą. Z odległych okolic przybywają kupcy na jarmark. Drobnej monety dostarcza wówczas rzeź. Kawałki mięsa wołowego służą do wyrównania różnicy przy zamianie towaru. Tłuste zwierzę przedstawia wartość 200 klg. soli. Kupcy po większej części są zarazem sklepikarzami, którzy nabyty zapas odprzedają u siebie w drobnych ilościach i to w takich, że możnaby je mierzyć naparstkiem. Cierpliwość jest najniezbędniejszym przymiotem tych ludzi. Wiele czasu zabiera zrównanie wartości. Lenistwo krajowców i tu znajduje pole. Szczep nasz ma z soli ładny dochód. Pokłady są własnością osobistą, której niejeden właścicielowi pozazdrości. Chociaż wielu do tych kopalń złota mierzy, nabycie ich rzadko się udaje. W razie usunięcia się właściciela, pole dostaje się gromadzie. Dla tych, coby mieli ochotę zostać nabywcami, żadnych niema widoków. Posiadacz takich pokładów solnych jest opodatkowany. Rocznie musi on dostarczyć królowi 10 klg. soli. Biada temu, któryby odmówił daniny. Posiadłość jego zostanie zabrana. Król nie powinien stawać na gruncie, gdzie znajduje się

warzelnia. Dotknięcie jego stopy przyprawiłoby o utratę soli cały ten obręb. Zgodnie z przesądem każe on siebie nieść wśród tych skarbów, żeby kraju nie pozbawić źródeł zysku. Teraźniejszy król chromy podania nie zachwieje. Okręgi, gdzie panują podobne stosunki gruntowe, spotykamy i w innych okolicach Afryki. Żądza spekulacyi kolonistów opanowała je wprawdzie, ale napróżno! Pieniądze i praca poszły na marne. Może kolej żelazna przyczyni się do rozkwitu handlu. Naszej kuchni wystarcza tymczasem sól murzyna, nie tak biała wprawdzie, lecz równie dobra, jak europejska.

„Szukajcie najpierw Królestwa Bożego i sprawiedliwości jego, a wszystko będzie wam przydano".

(Mat. VI. 33).





Dwie małe bohaterki

przez **Siostrę Hipolitę.**

Przełożona Szpitala św. Elżbiety przybyła w sierpniu do domu macierzystego z powodu interesów. Z powrotem miały jej towarzyszyć dwie małe Arabki, umieszczone dotychczas w ochronie. Żądała tego matka dziewczynek w zamiarze przyjścia po nie do szpitala i zabrania do domu, ponieważ już głód minął.

Był to istny cios dla dwóch małych siostrzyczek, bardzo do nas przywiązanych. Przyzwyczaiły się one do życia w ochronce, ujętego w regulamin i myśl sama, że wrócić muszą do wsi rodzinnej, napełniała je trwogą. Prosiły one, błagały, ale napróżno! Nie można było zatrzymać ich wbrew woli matki, wbrew układowi i przyrzeczeniu, że dzieci będą odwiezione.

Matka Gonzaga zabrała je więc z sobą. Przed opuszczeniem ochronki przyszły biedne dziewczątka raz jeszcze do Najśw. Panny, prosząc Ją o obronę i o powrót pod ten dach opiekuńczy. Miriam zawiesiła w grocie z Lourdes niepoświęcony różaniec, Zora zaś posłała Matce Boskiej pocałunek z przyrzeczeniem, że ucieknie i wróci do Niej.

I tak odeszły...

Są one jeszcze małe, w wieku 10 i 15 lat. Podróż rozerwała je trochę, a szpital zawsze jest domem Bożym, domem Sióstr, gdzie znajdą wizerunek N. Panny Niepokalanej... Ale nadszedł dzień, w którym przyszła po nie matka. Nowe prośby, nowe łzy!

— Nam tak dobrze u Sióstr — mówiły — Siostry nas kochają, dają nam chleb, zupę, figi; uczą nas mo-



Ochrzczone murzynki.

dlić się do Pana Boga za ciebie matko i my ciebie kochamy, ale nie chcemy wracać do naszej chaty i na nowo rozpocząć nędznego życia.

Ponieważ matka obstawała jednak przy swojem, na czułość jej i groźby odpowiedziały:

— Weź, kogo tylko chcesz, weź pastuszka, weź prezydenta, weź, kogo chcesz, ale my nie chcemy odchodzić od Sióstr, nie chcemy! Niech nas pokrają w kawałki, my stąd nie odejdziemy. Gdy wrócimy do wsi naszej, któż będzie zarabiał na chleb dla nas? Czy nasz brat? Ależ on jest ociemniały! Nie, nie! On chce nas mieć, żeby nas sprzedać mężowi, który nie pozwoli nam odmawiać naszych modlitw i który cały dzień bić nas będzie. Idź matko, idź i powiedz naszemu bratu, że my stąd nie odejdziemy.

Arabka w gruncie kochała dzieci swoje i przychodząc spełniała tylko żądanie syna, którego zamiary biedne małe aż nadto trafnie odgadły. Dała się ona w końcu zmiękczyć i nie nastawała więcej na powrót dzieci.

— No, to zostańcie u Sióstr, kiedy wam tak dobrze z niemi — rzekła do córek — nie chcę was zabierać przemocą i gdyby mnie chłopiec nie męczył z tego powodu, nie przyszłoby mi do głowy was niepokoić. Teraz was widziałam, jestem zadowolona.

I odeszła sama, pozostawiając dzieci pod opieką zakonnic. Miriam i Zora uważały się tymczasem za wyzwolone z niebezpieczeństwa i ofiarowały się na wszystkie małe usługi odpowiednie do ich sił i wieku. Tak łącząc modlitwę z czynem, znalazły w szpitalu ciche, pracowite życie ochrony.

Ale spokój ich miał być krótkotrwały. Trzeciego dnia ukazała się w bramie szpitala matka ze swym ślepym synem i kilku w pałki uzbrojonymi Arabami, zdecydowanymi na wzięcie dzieci przemocą w razie potrzeby i związanie ich sznurami, gdyby spróbować zechciały oporu.

Matka oświadczyła, że występuje w imię przysługującego jej prawa, przychodząc do zabrania dzieci

swych na sprzedaż, potrzebuje bowiem pieniędzy na życie, a w razie, jeżeli nie zechcą jej słuchać, córki swe zabije.

Pan Hamiot, burmistrz z St. Cyprian, był obecnym przy tej scenie. Dziewczynki, zamiast się przestraszyć, broniły się z energią nie do uwierzenia. Świadomość niebezpieczeństwa zdawała się podwajać siły ich odporne.

— Nie zadawalniasz się tem — mówiły do matki — że sobie gotujesz piekło, chcesz jeszcze służyć jako drzewo, żeby własne palić w niem córki! Ach, gdyby żył nasz ojciec, wytłómaczyłybyśmy jemu i onby zrozumiał, o ile lepszem jest życie, które teraz prowadzimy, od tego, które nam gotujesz. Matko! ty nie pojmujesz, ani gdzie twoje szczęście, ani gdzie nasze, jeżeli chcesz, byśmy zginęły tak marnie.

— Ach! — odezwała się starsza — widać że nie znasz prawdziwej religii, która każe dzieciom rodziców kochać i im pomagać. Jakbyśmy wyrosły, pracowałybyśmy na ciebie matko, i niczegoby ci nie brakło. A gdybyś tu o przyjęcie prosiła nie odtrąconoby ciebie i tybyś poznała Pana Boga. W czasie głodu byłaś już przyjętą, ale sama chciałaś odejść. My wszakże chcemy pozostać przy naszej Matce w szpitalu.

Arabka, podbudzona obecnością syna, pociągnęła obie córki na dziedziniec szpitalny w przekonaniu, że nakoniec słuszność jej zostanie przyznana, lub też uda się może ludziom, z którymi przyszła, schwytać je, a w takim razie wyrwaćby się już nie mogły. Rzecz jednak nie była łatwą, a dzieci umiały ze zwinnością właściwą rasie swojej, uchodzić prześladowcom, broniąc w dalszym ciągu sprawy swojej z wymową, przez rozpacz prawie wywołaną.

Wzruszająca ta scena pobudziła do łez wszystkich obecnych. Wreszcie po całogodzinnej wymianie słów, krzyku i groźbach, zmęczona tem matka oświadczyła, że gdy jej zwrócą 20 franków, wydanych na podróż córek i gdy ona te pieniądze odda ślepemu synowi, to on zobowiąże się wobec wszystkich świadków, córki jej zostawić w spokoju.

Nie był to zbyt drogi okup stałości biednych tych dziewczątek!

Pan Hamiot wciągnął oświadczenie kobiety do protokółu, wezwał dwie z obecnych osób na świadków na wypadek potrzeby i polecił Matce Gonzadze wypłacenie Arabce 20 franków, które ta ze swej strony wręczyła synowi, mówiąc mu przy tem: »Teraz, kiedy masz swoje pieniądze, radź sobie, a nas zostaw w spokoju«.

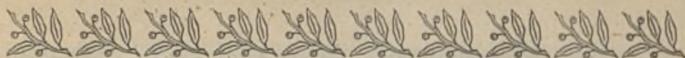
Dzieci odetchnęły, jakby je ciężka odeszła zmora, podczas gdy matka zmieniła nagle postępowanie; zaczęła płakać, pieścić je, całować: »To on do tego mię skłonił, powtarzała, ja was kocham i nie chciałabym was tak martwić. Teraz przychodzić będę dla widzenia się z wami, nie dla męczenia«.

Następne dni były dla dzieci dniami spokoju i radości. Kiedy szły do pracy, kiedy wracały z modlitwy, słyszano je szepczące cichutko: »Dzięki Panu Bogu! dzięki!«

Matka dwóch małych bohaterek nie wiedziała, jak tę okropną scenę zatrzeć w ich pamięci. Przynosiła im potrawy arabskie, koszyczki i t. p. Nieraz płakała, opowiadając nędzę swoją i porównywując spokojne życie dzieci ze swojem pełnem trosk i trwogi. Biedna kobieta!

Zrana po owej pamiętnej scenie, gdy ze szpitala wróciła, syn jej i jego towarzysze na przywitanie obłożyli ją kijami, zasypując gradem wyrzutów za przyjęcie 20 franków i pozbawienie się sumy, którejby spodziewać się można ze sprzedaży dziewcząt. Nadto, ponieważ posiadała ona kawałek gruntu, położyli ci źli ludzie na nim areszt, sprzedali go i podzielili się dochodem. Ostatecznie wypędzili biedną kobietę z chaty i zmusili do pójścia z najmłodszem dzieckiem, 6-letnim chłopczykiem na żebraninę. Często otrzymuje ona zupę w szpitalu i prawdopodobnie znajdzie tam wkrótce przytułek, którego pewno już nie będzie miała ochoty opuścić.

Dziewczynki zawsze dobre i pobożne. Jedna z nich wróciła do St. Charles, druga stara się być użyteczną w szpitalu. Obie pragną z utęsknieniem Chrztu św.



Ojciec nawrócony przez córkę.

Przez **Siostrę Filipinę.**

Nakure kube pakade. Amen! (Na wieki wieków. Amen!) — Temi słowy kończą nasi czarni chłopcy i czarne dziewczynki wieczorne modlitwy i udają się z wesołej sali szkolnej na górę do sypialni. Dzwonek misyjny ogłosił wieczorne błogosławieństwo, a w dal poniesione echo drżało w powietrzu jak słowa pożegnania. — Po gorącym zachodzie słońca nastąpiła piękna, orzeźwiająca noc, jakich wiele w południowej Afryce, a które miłe robią wrażenie na Europejczykach.

Uroczysta cisza zapanowała nad całym milczącym klasztorem, — tu i tam przebiegło tylko spłoszone zwierzę, poruszając krzakami — albo dał się słyszeć w powietrzu świergot nocnego ptaka.

Nagle rozległ się odgłos ludzkich kroków — cień zarysował się na drodze, cień czarnego dziecka. Powoli szło ono naprzód, oglądając się lękliwie, czy nie idzie za niem jaki prześladowca.

W końcu zapukało cicho do drzwi sypialni, a dobra Siostra otworzyła je.

— Czego sobie życzysz, moje dziecię?

Z ufnością popatrzyły ciemne oczy dziewczynki na Siostrę i cichym głosem przemówiła:

— Uciekłam z domu i przychodzę do białego nauczyciela, aby mnie ratował i ochrzcił. Ale będą mnie szukali — ojciec będzie się bardzo gniewał, bo on nie chce nic wiedzieć o Bogu. — Proszę cię, nie wyrzucaj mnie, ja chcę być dzieckiem Boga i już nie chcę powracać do ojca. Chciałabym mieć także ubranie, kochana Nkosazaoa (Siostro).

Taką dała odpowiedź wysmukła, może trzynaście lat licząca dziewczynka.

Rozmowa wkrótce się urwała, aby nie przeszkadzać ciszy nocnej — a dziecko przespało tę noc w kącie sypialni.

Ze świtem ukazał się ojciec dziewczynki, tak dziki i rozgniewany, że nie przypominamy sobie, czyśmy kiedy podobnego Kafra widziały. Natarczywie zażądał wydania najmłodszej swej córki Nombeletsh, groził, że ją zabije albo sam sobie życie odbierze i przebije się »umkonto« (piką[1]), jeżeli ona nie powróci. — Nombeletsh rozmawiała z ojcem przez otwarte okno w szkole, słuchała jego gróźb zapewne z trwogą, ale spokojnie, i oświadczyła stanowczo, że chce pozostać w szkole, aby poznać Pana Boga.

Trzęsąc się z gniewu, tylko na ostry rozkaz Ojca misyonarza oddalił się w końcu, ale groźby jego i postawa kazały się czegoś złego spodziewać. Wkrótce przyszła także matka i siostry dziewczynki i błagały ją z płaczem, ale i wobec nich pozostała niewzruszoną, choć widać było, jaką ciężką walkę staczać musiała ze sobą.

Ośm dni upłynęło. Nombeletsh okazała się bardzo zdolną, łagodną i posłuszną dziewczynką, największą jej radością była nauka religii, w czasie której nie spuszczała oka z nauczycielki i wielką swoją uwagą wszystkich cieszyła. — Nikt już nie myślał o jakiemkolwiek niebezpieczeństwie dla dziecka i dlatego pozwolono jej chodzić z innemi dziećmi w pole do roboty. Wtedy przyszedł jej ojciec tryumfująco z policyantem, aby dziecko swoje odebrać. Bezsilnym jest misyonarz wobec prawa angielskiego — z wielką boleścią widzi się zmuszonym być mu posłusznym, choć idzie tu o duszę nieśmiertelną, którą tak chętnie chciałby ratować. Ojciec i policyant spostrzegli dzieci w polu i czekali na nią — ale i Nombeletsh miała bystre oczy i zanim się Siostry i dzieci spostrzegły — uciekła.

Przygnębiona wróciła Siostra z dziećmi do klasztoru. Nombeletsh uciekła, zapewne zlękła się ojca i aby

ułagodzić jego gniew, poszła dobrowolnie do domu. Inni mówili, że ojciec ją zabrał i t. p.

Wreszcie nadszedł wieczór. Ojciec bardziej jeszcze rozgniewany przyszedł znowu z policyantem. Przeszukał wszystkie kąty, bo tłómaczeniom naszym, że Nombeletsh nigdzie znaleźć nie możemy, nie chciał dać wiary.

Zmrok się zwiększał i był już wielki czas, aby obaj ludzie wracali; czarne ciężkie chmury gromadziły się na niebie, grzmoty odzywały się coraz częściej i wkrótce ulewny deszcz zaczął padać. Dzieci udały się już dawno na spoczynek, a przeważna część ich spała spokojnie. Niektóre tylko starsze dziewczynki, przestraszone burzą, klęczały jeszcze, prosząc o opiekę Niepokalanej Dziewicy. — Siostra chodziła po sypialni, rachując ukochane dzieci i z boleścią zobaczyła próżne posłanie — zgubionej dzisiaj owieczki. Jeszcze raz obeszła dom, koło werandy, aby się przekonać, czy wszystko jest w porządku.

Ale jaki okrzyk radości wydała dobra Siostra, gdy uczuła obejmujące ją dwie mokre ręce, a zmokła wysmukła postać zbliżyła się do niej, okazując dwa rzędy perłowej białości zębów z poza śmiejących się ust.

— Kto jesteś?

Drżący z radości głos odpowiedział:

— Umtanako (Twoje dziecię).

Tak, była to Nombeletsh, która aby ukryć się przed ojcem i policyantem, cały wieczór i pół nocy przepędziła wśród najstraszniejszej burzy nad wodospadem, między kamieniami i skałami i teraz dopiero odważyła się wyjść ze swego ukrycia.

Jaką radością było to dla dzieci, gdy dnia następnego zobaczyły Nombeletsh znowu czysto i świeżo ubraną w niebieską perkalową suknię.

Ale walka trwała jeszcze długo — niepewnem jeszcze było, kto zwycięży — czy pogański ojciec, czy dla wiary cierpiące dziecko.

Na drugi dzień powrócił znowu ojciec i woźny, nalegając na misyonarza, by im dziewczynkę zwrócił.

Jak już wspomniałem, misyonarz musi prawa słuchać — i Nombeletsh miała być oddaną w ręce ojca. Była w szkole i wiedziała, że mimo najszczerszych chęci nikt jej pomódz nie może prócz jej własnej odwagi i stanowczości.

Ojciec misyonarz kazał najpierw rozmówić się dziewczynce przed drzwiami, co też uczyniła. Ale gdy policyant zrobił giest, aby ją za rękę uchwycić, wybiegła w jednej sekundzie, zamknęła za sobą drzwi, zaryglowała okna — wszystko to uczyniła z zadziwiającą szybkością. Misyonarz kazał jej drzwi otworzyć, i to w dość surowych słowach — ale napróżno. Siedziała cicho jak mysz, a po długiem, daremnem czekaniu ojciec z policyantem odeszli.

Tygodnie tak mijały — zdawało się, że ojciec się uspokoił — Nombeletsh była coraz odważniejszą i nauczycielki jak i towarzyszki nie myślały już o żadnem niebezpieczeństwie.

Była to niedziela. Miłe wiosenne powietrze sprowadziło murzynów z dalszych okolic. Mały kościółek misyjny był przepełniony wiernymi. Ochrzczeni mężczyźni, kobiety i dzieci zajęli miejsca w kościele — dzicy mieścili się na werandzie. Po kazaniu wychodzą dzieci, jak zwykle, parami — i nikt nie spodziewał się, że nastąpi teraz scena napełniająca każde serce współczuciem.

Przed drzwiami stał dziki ojciec biednego prześladowanego dziecięcia i badawczo zwracał swe oko, aby je pochwycić. Nastąpiła teraz gonitwa za dziewczynką; siwy, zaledwie ubrany człowiek, z kijem w żylastej dłoni, pędził po kamieniach i korzeniach. Chwilami zdawało się, że ojciec wyciągnie tylko rękę i pochwyci już dziecko, które jak gazela biegło lekko dalej.

W natężonej uwadze stali wszyscy widzowie, nie bez objawów niechęci i współczucia. — W końcu uciekła Nombeletsh do poblizkiego lasku, a za nią ojciec — ale potknęła się na korzeniach. Z zakrwawionem ramieniem dobyła ostatnich swych sił, aby powstać i biedz dalej — patrząc błagalnie na nieludzkiego ojca. Na widok krwi swego dziecka — dziki poganin wzruszył się.

— Dosyć tego, nie zabiję cię! — zawołał, stając nagle; rzucił kij i poszedł spokojnie dalej.

Nombeletsh wróciła powoli, a w pół godziny potem klęczała przed obrazem Najświętszej Panny, odmawiając pobożnie różaniec za nawrócenie ojca. On nie przyszedł już więcej, aby ją zabrać — pozostał jednak zatwardziałym i Nombeletsh nie miała już nigdy widzieć swojej chaty, tak jak inne dzieci; — dowiedziała się nawet ku wielkiej boleści, że ojciec nic o niej słyszeć nie chce, ani jej nie uważa za córkę swoją, chyba jeżeli będzie żałowała i powróci do niego. Matka inaczej się na to zapatrywała, ale powstrzymywana przez męża, widywała się z dzieckiem rzadko, i to w tajemnicy.

Miesiące mijały — Nombeletsh była dla wszystkich wzorem pilności; usposobieniem bogobojnem, ale i wesołem zjednała sobie serca wszystkich.

Wybierano dzieci do chrztu. Misyonarz nie wahał się ani chwili, by Nombeletsh przypuścić do tego szczęścia, choć wyjątkowo bez zezwolenia ojca. Nadszedł dzień uroczysty. Nombeletsh otrzymała piękne imię »Marya Bernadetta«, bo była wielką czcicielką Maryi i lubiła bardzo odmawiać różaniec.

W miesiąc po uroczystości chrztu nadszedł dzień Bożego Ciała. — Wzorowi w postępowaniu chłopcy i dziewczynki zostały odznaczone udziałem w tej uroczystości. Dzień ten tak piękny obchodzimy w misyi bardzo uroczyście, co robi wielkie wrażenie na poganach.

W kraju zawitała wiosna. Drzewa okryły się nową zielenią i wznosiły gałązki jak zwycięskie chorągwie na tę uroczystość. Wśród konarów brzęczały pszczoły pracowite, złote chrząszcze latały dokoła w promieniach słońca, różnobarwne motyle — wszystko cieszyło się wiosną, słońcem, a dusze nasze — Życiem swojem — Najśw. Sakramentem.

Czarni chrześcijanie, katechumeni, poganie — brali udział w procesyi, tworzyli szpalery, a ponad różnobarwnym tłumem rozpościerał się czysty błękit afrykańskiego nieba, co podnosiło jeszcze świetność dnia.

Sama procesya była skromna — mimo najlepszych chęci, ubóstwo nasze nie pozwalało wiele uczynić dla uświetnienia tej uroczystości Prócz dziewczynek ze szkoły, które miały na główkach białe wianki, było jeszcze sześć biało ubranych, które niosły różne symbole wiary, nadziei, miłości, albo obraz Najświętszej Panny i t. p. Między temi wybranemi była także Bernadetta. Niosła na białej poduszce Baranka Bożego i wyglądała w białej sukience, z białym wiankiem na głowie — jak aniołek. Nie przeczuwała zapewne, jakie ją dzisiaj jeszcze czeka szczęście — nawrócenie ojca.

Bernadetta zadrżała widocznie, gdy zobaczyła pomiędzy poganami ojca i gdy musiała przejść koło niego. Czuła jego oko spoczywające na niej, ale nie było ono zapalone gniewem — wzrok jego był zdumiony, wzruszony i łagodny. Nie widziała ojca od tego dnia, w którym podobna spłoszonej sarence, uciekała przed nim. Dziś jednak po skończonej procesyi przyszedł do swego ochrzczonego dziecka, które ledwo na niego spojrzeć się ośmieliło, i rzekł:

— Nie uciekaj już przedemną, moja córko. Dziś, gdym cię zobaczył w białej sukni jako dziecko Nieba — zmiękło serce moje. Chcę się także modlić do tego Boga którego ty więcej jak ojca i matkę kochasz. Jutro okryję siebie i matkę, a co niedzielę będę przychodził, aby się modlić z tobą w tym dużym domu (mówił o kościele).

Jak niekiedy słońce przedziera się przez chmury i uśmiecha się z poza mgły — tak samo zabłysło oko dziewczynki przez łzy. Nie była w stanie nic odpowiedzieć, ale wzrok jej mówił, jak nieskończenie była szczęśliwą.

Z wdzięcznością w sercu ku Najśw. Sakramentowi zaprowadziła ojca do kościoła i wraz z nim upadła na kolana przed Tabernaculum. — Jak wzruszającym był widok tak długo zatwardziałego poganina, wychodzącego z biało ubraną córką z kościoła, próbującego zrobić znak krzyża św., co jednak mu się nie udało!

Ale dotrzymał słowa. Na drugi dzień przyszedł porządnie ubrany, a i żona jego zamówiła sobie odzienie.

Bernadetta mogła po raz pierwszy w towarzystwie swoich koleżanek odwiedzić rodzinę, miejscowość, staruszkę babkę, uściskać małe rodzeństwo — a ojciec był dumnym ze swej pięknej, uczonej córki, która pokazała mu sztukę czytania i pisania, i zaśpiewała mu dźwięcznym głosem pieśń do Boga-Rodzicy.

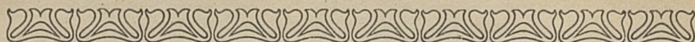
Pierwsze dłuższe jej odwiedziny poświęcone były bratu, suchotnikowi, który wyniszczony kaszlał w kącie (emzamo) i z zajęciem przypatrywał się dzieciom szkolnym. Długo z nim mówiła po cichu, a przy tej rozmowie matowe jego oczy zajaśniały. Piętnastoletni łagodny chłopiec wzywał często swoją siostrę do siebie, a to, co z sobą rozmawiali, było zbawieniem dla duszy jego.

Jednego dnia przywiózł go ojciec na koniu, aby go Siostry uleczyły, jeżeli Pan Bóg pozwoli. Ale było już zapóźno — nie miał już odzyskać zdrowia ciała, odzyskał jednak zdrowie duszy. Sam ojciec prosił misyonarza, aby zadośćuczynił życzeniu chorego i ochrzcił go.

Gobiana — takie było pogańskie imię chorego — ochrzczonym został w obecności całej rodziny, a w trzy dni potem umarł Mateusz w objęciach zbolałego ojca. — Rodzice Bernadetty przychodzili odtąd regularnie na naukę katechizmu.

Rok minął. — Był to wesoły czas Wielkiejnocy. Alleluja brzmiało w ustach czarnych dzieci, a kościół misyjny przepełniony był wiernymi. Dziś znowu była pewna liczba mężczyzn i kobiet, chłopców i dziewczynek, którzy zerwać mieli więzy szatana, a otrzymać światło wiary we chrzcie św.

Wśród tych szczęśliwych był także niegdyś tak zatwardziały ojciec, prócz tego matka, brat i siostra, wuj i ciotka naszej Bernadetty. Tak więc cała rodzina, od najmłodszego do najstarszego, przyjętą została między dzieci Boże. — Jakie szczęście jaśniało z ich oczu, z jaką wdzięcznością patrzył ojciec przy uczcie urządzonej przez Siostry, składającej się z czarnej kawy z jęczmienia i chleba kukurydzianego — na ulubienicę swoją Bernadettę, na tę rozjaśnioną szczęściem twarzyczkę! Jej stałości przecież zawdzięczał nawrócenie swoje,



Słówko o krokodylach w Afryce

przez

O. Menyhardta, T. J. Misyonarza nad Zambezą.

Szkaradne te zwierzęta — pisze O. Menyhardt w jednym z listów do byłych swych wychowańców w Kaloksie — niemało trosk już mnie przyczyniły. Czatują one nieustannie w nurtach Zambezy. Biada temu, kto nieostrożnie do wody wejdzie lub sam przesiaduje na brzegu rzeki! Przed naszem mieszkaniem pożerają krokodyle trzech do czterech ludzi co roku. Ba! co 30 metrów znajduje się taki potwór na czatach. Gdy pogoda sprzyja, śpią one z otwartemi paszczami na piasku! widywaliśmy ich po pięć i sześć razem.

Wyobraźcie sobie w tutejszym gorącym klimacie wielką piękną rzekę Zambezę; człowiekowi chciałoby się użyć kąpieli, a tu ani myśleć! Pomimo to kąpią się nasi murzyni i dlatego wielu z nich staje się pastwą krokodyli. Moi czarni uczniowie mali i wielcy kąpią się również, i to codzień. Dla nich wynajdujemy płytkie miejsca, gdzie krokodyl ukryć się nie może i gdzie z tego powodu nie grozi niebezpieczeństwo. Nadto ochroną chłopców jest ich liczba; 80 do 90 tych gardziołek tak piekielny podnosi hałas, że i krokodylom to wystarcza. W pobliżu głębin zachować należy wielką ostrożność. Poprzednio stawaliśmy tam z bronią i dla przerażenia zwierząt dawaliśmy strzał na początku kąpieli. Zaprzestaliśmy jednak tego wprędce, gdyż krokodyle wzięły to za sygnał zwołujący je i tłumnie jęły się gromadzić dokoła miejsca kąpieli. Czasem, w odle-

głości zaledwie 20 metrów pływały koło nas 3 krokodyle, wystawiając tylko głowy z pod wody. Że strzelby nic sobie nie robiły, gdyż ta opancerzonemu ich grzbietowi i głowie niewiele może przynieść szkody.

Przed dwoma laty w dniu uroczystości św. Piotra Klawera bawili się nad brzegiem moi uczniowie. Hałasowali, śpiewali i ze wszystkich sił bili w bębny murzyńskie. Część ich była jeszcze w kąpieli, nagle myśl mi przyszła — natchnienie zapewne od ich Aniołów Stróżów — biada! gdyby teraz zbliżył się krokodyl... Spoglądam i widzę o 7 metrów zaledwie od mych wychowańców obrzydłego potwora. Spostrzegł, żeśmy go zauważyli, natychmiast dał nurka i znikł w głębinie. Możecie sobie wyobrazić jak drżeć muszą biedni chłopcy murzyńscy przed krokodylem! Czasem, gdy żadne nie grozi niebezpieczeństwo, każdy bierze duży kamień do kąpieli, rzuca go w wodę przed siebie i dopiero potem sam wskakuje, następnie bawi chwilę w wodzie, podnosi znów wielki kamień i tak wyskakuje.

W końcu zeszłego roku zuchwalstwo krokodyli stało się już nie do zniesienia. W jednej chwili porywały one kozy, owce, psy a nawet ludzi. Bracia czynili, co było w ich mocy dla spłoszenia tych zwierząt, lecz napróżno! Sporządzili oni duże haki i spuścili je za pomocą żelaznych łańcuchów do wody. Krokodyle to odgryzły hak cały, to go złamały, to ściągnęły tylko przynętę. Ostatecznie zawisł pewnego poranka potężny krokodyl na haku, dwudziestu ludzi ciągnęło łańcuch. Już był potwór w połowie z wody wydobyty, kiedy z taką siłą się przewrócił, że wszyscy dwudziestu uciekli. Niedawno wzięto się jeszcze energiczniej do dzieła. Zaledwie znowu jednak zwierz do połowy wynurzył się z wody, łańcuch pękł, a krokodyl z hakiem popłynął. Od tego czasu stały się krokodyle jeszcze zuchwalsze.

Podczas pobytu mego w Quelimane porwały one kochanego mego ucznia, Justyna. Był to okazały chłopiec, jak węgiel czarny. Zdaje się, że widzę jak zręcznie płynie po rzece, z uśmiechem patrząc na stojących na

brzegu i jak dwa rzędy jego śnieżnych zębów od czarnej odbijają twarzyczki. Jednego popołudnia nie czekał on na innych, wskoczył pierwszy do wody i w dobrym humorze popłynął nieco dalej. Nagle porwał go olbrzymi krokodyl i znikł ze swą zdobyczą w głębinie. Teraz postanowili bracia za jakąbądź cenę tym figlom krokodyli położyć koniec. Jednego dnia Brat Lindlohr trafnym strzałem posłał kulę w kark potężnemu krokodylowi. Zwierzę drgnęło i przestało żyć. Niedługo potem zabił on dwie sztuki. Od tego czasu polował także na pływające krokodyle, których tylko głowy wyglądały z pod wody. Przytem tak był szczęśliwy, że niekiedy jedną kulą zabijał zwierzę. Zastrzelił on 7 tych potworów w ciągu jednego miesiąca. Murzyni nie mogli się dosyć nacieszyć i od tego czasu nazywają Brata zabójcą krokodyli, które teraz ukazują się rzadko. Bywają między nimi długie na 6 metrów i więcej; te jednak bardzo są przezorne. Małe krokodyle widuje się często. Uczniowie moi znaleźli raz na spacerze w bocznej odnodze Zambezi gniazdo krokodyle. Zabili oni lub złapali tego samego dnia 60 sztuk długości 20 cm.

„W Tobie Panie nadzieję moją położyłem, nie będę zawstydzony na wieki".



ODBITO W DRUKARNI »CZASU« W KRAKOWIE 1912.

